

Lesenisciduip et, sum ea faciliquatue tet autat. Ut velisl iril euisl el ea autpat, quipissecte tat.

Magna feu feuiissim quat pratin vel dit, core dolore magnim nulputat, quat do duis dit nibh exerilit ut lum el eraesecte do dignim iliscilit eu feummy niatum irilit dolore magna facin velit accum in et prat. Cilis esto conum zzriustrud dolore dolor ip eugait aliquat. Dui te eum ectem veros nullandre ming euipit pratio con elit amcommy nulla consequatum zzrilis ciliquamet, quipis alit et utpat. Ut laore del elessim quis endipit pratin venibh ea commy nummy num quam veliquisl utpat adiatin veliquat ipis exero od molortie tet ute magna consequissi.

Essi eu feugait prat lor ing erciliquat iure corperilis nulla commolore tet, seniamet, consed tie consectem nim vullan henim volobor alismoluptat lutatin ulput volobore tat ad tat eum quip ex erilis niam irit volore consed digna feugait loborerit niam voloborer sed magna facillamet adit atue tat luptat, se dolorpercil utpatem quat. Duisil dolum vent alisci ero conse ea faci estio er in utat lutat, sisi blaore do conulput lorem accum zzriuscidunt lute mod magnim et prate modit vent ecte feum velisi tions augait nis nim dolestin ut acipsusci elisit at. Duisim vulput ex eu feu feum inim in hendre dunt luptat.

Lummodolore tat pratum ing eniam, vent velit luptat. Guerit, sum volut adionse quismolesto endiat euisit lan ex eugero dolore commy nibh eugait iure mincilit alit ipsum ver alit nulla con volore delenim volut am, quisim in heniam, quatio et laore consed molor suscinibh eugait lore delit luptat in ut at.

Peraestrud diat. Gait, sisl doloborer adipis eugiamcon vel duisciliquam volestrud magna facin hent am vullandre deleniamet loreetum iureet ad dui ea feummy nullametum illan ulput nostismolor sed dunt volorerilit adiametue delendrero er suscillaor adignim eugiam, volut praessi essecte do digna feu feup exeraesto ea facilit, con vulputat. Ut dignit ad min enibh et, sequat. Ut vullut prat. Duipis do odionum in ver si.

Usci bla feugait aut aliscip etummy nulla feum quipsum del inci erit, consequatet nons nulput prat. Labor at. Ut pratem nibh endit veros at alit nostrud tissent ut wisiscilisis nim iuscilis nostrud tat, sustrud tem alit, sum quip eum zzrilla ad ex euis dolobore dunt la faccum ea aliquisl iuscidunt

w imieniu Kolegium Redakcyjnego

Hanka Dmochowska



RAFAŁ DROZDOWSKI
Poznań

POPRAWIANIE MIEJSKIEJ PRZESTRZENI PUBLICZNEJ¹

UWAGI WSTĘPNE

Zainteresowanie socjologów sferą publiczną (w tym zwłaszcza miejską sferą publiczną) osadzone jest – od dziesięcioleci – w charakterystycznym dlań kontekście. Na kontekst ten składa się, po pierwsze, założenie, iż miejska sfera publiczna znalazła się w głębokim kryzysie (nie pełni już w wystarczającym stopniu funkcji wehikułu i jednocześnie narzędzia deliberatywnej demokracji², oraz jest sukcesywnie zawłaszczana przez rozmaite „prywatyzmy”³, oraz jest „przymykana” przed najróżniejszymi „kłopotliwymi” kategoriami mieszkańców – użytkowników miasta⁴ itd.). Po drugie, na ów ogólniejszy kontekst zainteresowania miejską sferą publiczną składa się również przekonanie, że „odzyskanie” jej dla społeczeństwa⁵ lub chociaż jakaś zasadnicza zmiana sposobu myślenia o jej zadaniach i funkcjach⁶ przełoży się w bezpośredni sposób na podniesienie jakości demokracji (przynajmniej tej społecznej), na rozwój społeczeństwa obywatelskiego i generalnie – na uratowanie wśród członków społeczeństwa poczucia, iż tworzą oni w dalszym ciągu wspólnotę myślącą i działającą w kategoriach dobra wspólnego.

Tymczasem zaś, nie negując nawet obu wspomnianych wyżej założeń (przynajmniej nie w całości⁷), warto w moim przekonaniu postawić pytanie, czy skądinąd ważna, poży-

¹ Artykuł niniejszy stanowi częściowo zmodyfikowaną i istotnie poszerzoną wersję artykułu zatytułowanego *Lepsza sfera publiczna – bezdyskusyjny postulat pod dyskusję*. Wspomniany artykuł ukaże się w książce pt. *Sfera publiczna w mieście*, M. Nowak, P. Pluciński (red.), Poznań, Wydawnictwo Naukowe Wydziału Nauk Społecznych UAM, pod koniec 2010 r.

² Zob. J. Habermas, *Strukturalne przeobrażenia sfery publicznej*, Warszawa 2008.

³ Zob. np. R. Drozdowski, W. Godzic, H. Grzeszczuk-Brendel, A. Jakubowska, M. Krajewski, W. Kuligowski, L. Olszewski, J. Sawicka, E. Rewers, *Prywatnie o publicznym/publicznie o prywatnym*, R. Drozdowski, M. Krajewski (pomysł i redakcja), Poznań 2007.

⁴ Zob. np. J. Ranciere, *Dzielenie postrzegalnego. Estetyka i polityka*, Kraków 2007.

⁵ Zob. N. Klein, *No logo*, Izabelin 2004, s. 21-143, zob. też np. J. Urbański, *Odzyskać miasto. Samowolne osadnictwo, skłoting, architektura*, Poznań 2005.

⁶ Zob. Ch. Mouffe, *Paradoks demokracji*, Wrocław 2005, s. 115-123.

⁷ Trudno polemizować ze stwierdzeniem, że proces destrukcji miejskiej sfery publicznej rzeczywiście postępuje (choć jednocześnie wielu autorów – zob. np. M. Castells, *Społeczeństwo sieci*, Warszawa 2007 – wska-

teczna i ciekawa dyskusja na temat miejskiej sfery publicznej nie staje się – niekiedy – pretekstem do wysuwania postulatów i roszczeń, które raczej wzmacniają „system” niż „stronę społeczną”, które dopominają się o rozwiązania obniżające w końcowym rozrachunku poziom spójności i integracji społecznej i które wolno by było może nawet nazwać *antyspołecznymi*? Innymi słowy mówiąc – warto dopytywać się, czy w powszechnie deklarowaną troskę o przestrzeń publiczną, o jej kondycję i status nie są wszyte jakieś funkcje ukryte, czy troska ta nie toruje drogi jakiemuś pobocznemu dyskursowi, który służy społecznemu i politycznemu zalegitymizowaniu działań obliczonych na limitowanie, bądź wręcz na ograniczenie indywidualnej i zbiorowej autonomii?

Chciałbym więc spojrzeć w niniejszym artykule na miejską przestrzeń publiczną (zaś właściwie na socjologiczną dyskusję na jej temat) nieco podejrzliwie. Spróbuję tu wskazać osiem różnych (choć w sumie, jak się okaże, dość ściśle powiązanych z sobą) sposobów instrumentalizowania dyskusji o tej przestrzeni. Wszystkie one sprowadzają się w praktyce do wikłania postulatu walki o lepszą przestrzeń publiczną w rolę koronnego argumentu mającego bądź to 1) uzasadniać i uprawomocnić projekty radykalnej (więc i zarazem ryzykownej, o trudnych do przewidzenia skutkach ubocznych) ingerencji w zastaną tkankę społeczną oraz architektoniczną miasta, bądź też 2) uzasadniać i uprawomocnić stopniowe – kawałek po kawałku – oddawanie miasta rozmaitym grupom interesu uważającym się/uznanym przez władze samorządowe za potencjalnie lepszych zarządców określonych zasobów miejskich.

RATOWANIE SFERY PUBLICZNEJ SPRAWĄ (URZĘDNICZEGO) HONORU

Powszechne przekonanie, że miejska sfera publiczna znajduje się – od lat – w głębokim kryzysie upoważnia i niejako uprawnia władze miejskie do podejmowania rozmaitych działań administracyjnych, które mają ją chronić przed dalszą degradacją, lub które – jeszcze lepiej – służyć mają nadaniu jej zupełnie nowego oblicza, bardziej jakoby odpowiadającego wyobrażeniom o jej „modelowej postaci” w coraz szybciej zmieniającym się społeczeństwie.

Trudno kwestionować potrzebę takich działań. Niewątpliwie, znaczna ich część wychodzi naprzeciw oczekiwaniom społecznym. I niewątpliwie o wielu z nich da się powiedzieć, iż – w sumie – zaprojektowano je z dużą konsekwencją i „znawstwem

zuje, iż tak naprawdę wiele starych funkcji rozumianej w sposób Habermasowski sfery publicznej przejął dziś Internet lub, że tradycyjnie pojmowana sfera publiczna uległa „parcelacji” na niezliczoną subsfer mających półotwarty charakter – zob. np. R. Putnam, *Samotna gra w kręgle. Upadek i odrodzenie wspólnot lokalnych w Stanach Zjednoczonych*, Warszawa 2008). Więcej wątpliwości budzić może założenie o prostym, liniowym związku pomiędzy jakością sfery publicznej a jakością demokracji i siłą społeczeństwa obywatelskiego. Nie tylko dlatego, że mamy prawo się spierać, co w tym związku jest zmienną zależną, a co zmienną niezależną. Także dlatego, że z coraz większą trudnością przychodzi socjologom określić siłę tego związku, nie wspominając już o ustaleniu listy jego dodatkowych, często bardzo sytuacyjnych uwarunkowań.

socjotechnicznym” oraz ze szczerą nadzieją, że prędzej lub później zaowocują widoczną poprawą jakości życia w mieście.

Zarazem jednak trudno też wyzbyć się wrażenia, że działania te otwierają furtkę rozmaitym niepokojącym rozwiązaniom, których wspólną cechą jest dążenie do nadregulacji. Dobrym przykładem mogą tu być podejmowane przez samorządy wielu (większości) miast inicjatywy na rzecz zwiększenia bezpieczeństwa publicznego.⁸ Często-kroć prowadzą one nie tylko do większego, względnie innego, niż było w planach ograniczenia praw i uprawnień mieszkańców, lecz także – paradoksalnie – zniechęcają do „bycia na mieście”, czynią z potencjalnych użytkowników, bądź współgospodarzy miejskiej sfery publicznej „domatorów z konieczności”, którzy zaszywiają się w sferze prywatnej i coraz mniej chętnie ją opuszczają, jednak nie z uwagi na jej atrakcyjność, lecz dlatego, że „na mieście” daje się we znaki zbyt dużo dyscyplinujących i opresyjnych reguł określających dopuszczalne sposoby funkcjonowania w przestrzeni miejskiej i dopuszczalne tryby jej „użytkowania”.

Inny przykład zwyciężania polityki nadregulacyjnej to stale wzrastająca liczba przepisów i regulacji określających takie kwestie, jak zasady ładu wizualnego⁹ czy warunki, na jakich ma prawo uobecniać się w przestrzeni miejskiej sztuka publiczna¹⁰.

Dążenie władz miejskich do uprawiania „polityki nadregulacji”, do prostego zarządzania określonymi zjawiskami i procesami miejskimi za pomocą instrumentów administracyjnych (których w końcu okazuje się być zbyt dużo i które w końcu objawiają się jako kolejne narzędzia nadzoru) może być interpretowane jako przejaw – dość w sumie naiwnej – wiary w to, że da się wywołać, albo przynajmniej przyspieszyć określone społecznie (i zarazem ekonomicznie oraz politycznie) pożądane skutki za pomocą „ręcznego sterowania”.

⁸ Do inicjatyw takich zaliczyć można przede wszystkim starania legislacyjne władz miejskich mające doprowadzić do zwiększenia uprawnień rozmaitych służb porządkowych. Zaliczyć można do nich jednak również np. poszerzanie obszarów objętych monitoringiem elektronicznym (temu sposobowi u-efektywniania nadzoru nad miastem i jednocześnie u-opresyjniania „stosunków miejskich” socjologowie poświęcili jak dotąd chyba najwięcej uwagi – zob. np. M. Krajewski, *Kultury kultury popularnej*, Poznań 2003, s. 166-204, zob. też K. Miciukiewicz, *Evidence Locker. Oswajanie miejskiego nadzoru*, w: M. Krajewski (red.), *Wizualność miasta. Wytwarzanie miejskiej ikonosfery*, Poznań 2007, s. 319-326), zachęcanie mieszkańców do tworzenia „straży sąsiedzkich”, komplikowanie/ograniczanie reguł dostępu do tradycyjnie otwartych terenów miejskich, takich jak parki, czy miejskie kąpieliska itd.

⁹ W Polsce dyskusja na temat ładu wizualnego rozpoczęła się, tak naprawdę, z chwilą pojawienia się – w latach 90. poprzedniego stulecia – firm zarządzających nośnikami reklamy zewnętrznej. Początkowo *billboardy* próbowano ustawiać i zawieszać praktycznie wszędzie. Po paru latach nieskrępowanej ekspansji firm *outdoorowych* samorządy większości miast zaczęły jednak wprowadzać rozmaite ograniczenia – zakazując min. umieszczania tablic reklamowych w zabytkowych częściach miasta, wprowadzając limity na liczbę nośników itd. Dążenie do uporządkowania wizualnego przestrzeni miejskiej za pomocą narzędzi prawnych może się wydać – w przypadku reklamy zewnętrznej – uzasadnione (pod warunkiem oczywiście, że restrykcje nie pójdą zbyt daleko). Większe wątpliwości budzą powracające co jakiś czas pomysły mające na celu np. ujednoczenie ulicznych szyldów, czy narzucenie mieszkańcom ściśle określonej kolorystyki elewacji budowanych lub remontowanych budynków. Z jednej strony (jakiś) uporządkowanie przestrzenne jest oczywiście wskazane. Z drugiej strony jednak, łatwo tu o przesadę „glajszachtującą” miasto.

¹⁰ Do tematu sztuki publicznej w mieście powrócę jeszcze szerzej w osobnej, poświęconej wyłącznie temu zagadnieniu części artykułu.

Można jednak w tych wątpliwościach pójść o krok dalej i stwierdzić, że dążenie to jest także odzwierciedleniem głębokiego, strukturalnego kryzysu władzy miejskiej (zaś poniekąd – władzy w ogóle). U jego podstaw tkwi (trafne skądinąd) przekonanie poszczególnych podmiotów władzy, że w warunkach postępującej globalizacji radykalnie kurczy się zakres ich realnego sprawstwa¹¹. Ta dość nowa sytuacja rodzi – siłą rzeczy – pokusę poszukiwania jakichś zastępczych i w gruncie rzeczy substytutowych obszarów władztwa, mających ratować nadszarpnięty autorytet władzy i mających ją w nowy sposób uzasadniać w oczach społeczeństwa.

Nietrudno się domyślić, że znakomicie nadaje się do tego celu hasło porządkowania sfery publicznej. Powszechne przeświadczenie społeczne, iż jest ona nieefektywnie nadzorowana¹² jawi się jako jednoznaczna zachęta do „giulianizacji” stylu zarządzania miastem (stąd właśnie najwięcej przykładów „polityki nadregulacji” dotyczy – o czym już tu była mowa – obszaru bezpieczeństwa publicznego). Jednak coraz bardziej bezradne wobec rozmaitych trendów o ponadlokalnym zasięgu i coraz mniej sprawcze władze miejskie, chcąc prezentować się mieszkańcom jako (mimo wszystko) przydatne, społecznie uzasadnione aparaty planowania, wykonawstwa i nadzoru nie mogą oczywiście poprzestawać na programach typu „zero tolerancji”. Dlatego coraz chętniej wskazują one – jako na swoje „sztandarowe zadania” – nie tyle już nawet na kwestie, które nadal żywo interesują mieszkańców (jak ma to niewątpliwie miejsce w przypadku bezpieczeństwa publicznego), lecz na kwestie, w przypadku których kryteria realizacyjnego sukcesu są miękkie i rozmyte, zaś efekty powziętych działań – praktycznie nieewaluowalne. Jedną z takich nowych, trudno ewaluowalnych, wymykających się twardym kryteriom oceniającym dziedzin aktywności władz miejskich stał się w ostatnich latach tzw. marketing miejsca¹³, inną – np. „planowanie strategiczne”¹⁴, jeszcze inną – rozmaite przedsięwzięcia obliczone

¹¹ Zob. np. J. Staniszkis, *Władza globalizacji*, Warszawa 2003, s. 37-68. Na temat słabnięcia tradycyjnych struktur władzy w dobie globalizacji – zob. również np. U. Beck, *Władza i przeciwładza w epoce globalizacji. Nowa ekonomia polityki światowej*, Warszawa 2005 oraz E. Wnuk-Lipiński, *Świat międzyepoki. Globalizacja – demokracja – państwo narodowe*, Kraków 2004.

¹² Więcej na temat samego zjawiska nieefektywnego nadzoru przestrzeni publicznej oraz o jego społecznych, politycznych i ekonomicznych konsekwencjach – zob. R. Drozdowski, *Obraza na obrazach. Strategie społecznego oporu wobec obrazów dominujących*, Poznań 2006, s. 248-253.

¹³ Wszystkie polskie miasta metropolitarne i większość miast, które aspirują do tego miana ma już własne strategie promocji, w których określone są również ich docelowe wizerunki. I tak np., Wrocław ma być miastem spotkań, Rzeszów – stolicą innowacji, Warszawa – miastem, w którym można zakochać się, Poznań – miał być miastem wartym poznania, ale ostatecznie został miastem *know-how* itd. Oczywiście – w samym fakcie dążenia do tego, by „doposażyć” miasta w jakieś nowe znaczenia lub by starać się zdyskontować ich obiektywne atuty, zaczynając mówić o nich za pomocą bardziej marketingowego języka nie kryje się nic złego. Wątpliwości pojawiają się dopiero wówczas, gdy ów marketingowy język za bardzo „odkleja się” od rzeczywistości i wówczas, gdy w całej tej swoistej grze pojawia się wrażenie, że chodzi raczej o to, by maskować indolencję, błędy i grzechy władz miejskich, niż o to, by rzeczywiście kreować jakieś autentycznie nowe oblicza miasta.

¹⁴ Prawie wszystkie największe, duże i nawet średnie miasta w Polsce mają już swoje strategie rozwoju. Oczywiście – podobne dokumenty są miastom potrzebne i bardzo dobrze, że powstają. Nie zmienia to jednak faktu, że częstokroć służą one nie tylko nakreśleniu jakiejś wizji rozwojowej, ale również odwracaniu uwagi od

na budowanie (wzmacnianie, „konserwowanie”) poczucia identyfikacji mieszkańców z miastem¹⁵.

„WALEC GENTRYFIKACYJNY”

Rozmowy o miejskiej sferze publicznej i o tym, jak podnosić jej jakość prędzej czy później prowadzą do tematu gentryfikacji.

Znów chciałbym tu być ostrożny. Są oczywiście i dobre i złe projekty gentryfikacyjne. Różny jest w tych projektach stopień „aspiracji gentryfikacyjnych” (od gentryfikacji symbolicznej, mającej poprawić lub zmienić wizerunek miejsca, poprzez gentryfikację ekonomiczną, mającą podnieść jego wartość rynkową aż po gentryfikację społeczną mającą doprowadzić do zmiany struktury społeczno-demograficznej zamieszkującej je/ „używającej go” ludności). Różne są wreszcie „technologie” i style gentryfikacji – poczynając od takich, które oparte są na założeniu, iż ostateczne cele gentryfikacji, jej tempo i jej narzędzia muszą być mozolnie negocjowane i rzetelnie uzgadniane z mieszkańcami rewitalizowanych obszarów¹⁶, poprzez takie, które traktują gentryfikację jako czysto biurokratyczne zadanie aż po takie, które sprawiają wrażenie, iż hasło gentryfikacji jest jedynie przykrywką dla akcji metodycznego wypłaszania starych mieszkańców.

Mając zatem świadomość, że nie wszystkie zrealizowane projekty gentryfikacji zasługują na krytykę i że wiele z nich spełniło pokładane w nich nadzieje (zarówno władz miejskich, jak i mieszkańców), chciałbym tu – mimo wszystko – zachęcać do życzliwej, lecz (jednak) nieufności wobec „ideologii gentryfikacyjnej”.

Po pierwsze, dlatego, że owa „ideologia gentryfikacyjna” wydaje mi się być dzisiaj niebezpiecznie blisko spowinowacona z pewnym mitem planistów miejskich, który miałbym ochotę określić tu mianem mitu łatwej przekształcalności. Istotnie,

„tu i teraz”, swoistemu unieważnianiu terażniejszości. Co gorsze, wiele z tych strategii od początku funkcjonuje – *de facto* – jako zestaw „pobożnych życzeń”, gdyż nie są one w wystarczającym stopniu osadzone ani w zastanych, ani w przewidywanych realiach finansowych i organizacyjnych. Co jeszcze gorsze, można niekiedy odnieść wrażenie, że strategie miejskiego rozwoju powstają nie tyle po to, by rzeczywiście określić długofalowe kierunki rozwojowe miasta, ale po to, aby obłaskawić niektóre miejskie grupy potencjalnego protestu (np. część opozycyjnych radnych, część krytycznie nastawionych do władz miasta aktywistów organizacji pozarządowych, część lokalnych środowisk opiniotwórczych itp.). Ów proces obłaskawiania potencjalnych przeciwników aktualnie realizowanych polityk miejskich oznacza zazwyczaj wciągnięcie ich w którąś z faz pracy nad strategią lub nawet uczynienie ich współautorami strategii.

¹⁵ Przykładem takich przedsięwzięć są różne wspierane, niekiedy zaś inicjowane przez władze miasta happeningi miejskie – takie jak modne od kilku lat są zbiorowe portrety mieszkańców (zafundowały je sobie min. Gdańsk i Częstochowa) czy biegi uliczne. Inny przykład to (równie modne od pewnego czasu) konkursy na logo miasta.

¹⁶ Zob. np. A. Billert, *Współczesne problemy rozwoju i rewitalizacji. Lokalny Program Rewitalizacji – Nowy instrument dla zintegrowanego planowania i wdrażania rozwoju i rewitalizacji miast*, w: T. Biliński (red.), *Renowacja budynków i modernizacja obszarów zabudowanych*, t. 2, Zielona Góra 2006.

przekształcanie scenografii miejskiej – do czego sprowadza się, bądź jest sprowadzana większość projektów gentryfikacji – jest stosunkowo proste (pod warunkiem, że ma się na to dość środków finansowych). Zgoła inaczej przedstawia się jednak sprawa wówczas, gdy w polu naszej uwagi znajdzie się już nie tyle architektoniczno-przestrzenny, lecz społeczno-kulturowy aspekt przekształcania miasta. Zacząć by trzeba od tego, że często nie bardzo wiadomo, na czym w ogóle miałyby owe przekształcenia społeczno-kulturowe polegać i w którą miałyby zmierzać stronę. Przede wszystkim jednak, jeśli zgodzimy się, że miasto to również suma zinternalizowanych praktyk miejskich¹⁷ (można je rozumieć jako nawykowe „sposoby bycia w mieście”, można je pojmować jako „programy używania miasta” – jako określone „instrukcje obsługi” dotyczące „właściwego” posługiwania się miastem, można wreszcie przyjąć, że są one synonimem zróżnicowanych stylów życia miejskiego), wówczas przyjąć też będziemy musieli do wiadomości, że owe głęboko uwewnętrznione praktyki miejskie nie poddają się już tak łatwej „obróbce” jak miejska materia. To dlatego – ku zdziwieniu i często nieskrywanej irytacji autorów i wykonawców projektów gentryfikacyjnych – zmiany dokonane w scenografii/scenerii miasta zazwyczaj nie pociągają za sobą automatycznych zmian w sposobach funkcjonowania w tejże („mechanicznie” i naskórkowo odmienionej) scenografii/scenerii. Bywa, że stare nawyki i skrypty działania zrośnięte z przestrzenią w jej „przedgentryfikacyjnym” kształcie okazują się być na tyle silne, na tyle mocno wkorzone, że koniec końców „likwidują” one gentryfikację, przywracając – w sobie wiadomy sposób – społeczny, kulturowy, symboliczny i nawet wizualny *status quo ante*. Wówczas jednak, po stronie „gentryfikatorów” dochodzi do głosu raczej retoryka wyzwalania się na niewdzięczność mieszkańców zgentryfikowanych obszarów lub retoryka, która zarzuca im brak wystarczającej kompetencji miejskiej, niż retoryka (samokrytycznej) refleksji. Inaczej mówiąc, winą za nieudaną gentryfikację obarczani są raczej ci, którzy – ostatecznie – nie wpisali się w jej postulaty, niż ci, którzy je wymyślili. Taka diagnoza skłania oczywiście do konkluzji, że nie warto podejmować żadnych inicjatyw gentryfikacyjnych, gdyż nie ma na nie wystarczającego popytu społecznego, a nawet, jeśli jest – potencjalni beneficjanci gentryfikacji (tzn. „tubylcy” na poddanych gentryfikacji terenach) nie będą potrafili właściwie ocenić (ani docenić) wysiłków nakierowanych na poprawę ich sytuacji. W ostatecznym rozrachunku, nieudane (oddolnie storpedowane) projekty gentryfikacyjne nie tyle przyczyniają się do rewidowania założeń „polityki gentryfikacyjnej”, ile do utrwalenia się – w zbiorowej wyobraźni – obrazu miasta, które jest w nieusuwalny sposób podzielone na „lepsze” i „gorsze” miejsca. Taki obraz miasta uprawnia z kolei do tego, aby nie przejmować się już zanadto żadnymi wewnątrzmijskimi nierównościami.

Po drugie, wypada powtórzyć za wieloma sceptykami i krytykami gentryfikacji, iż niezależnie od deklarowanych celów poszczególnych projektów gentryfikacyjnych,

¹⁷ Zob. M. de Certeau, *Wynaleźć codzienność. Sztuki działania*, Kraków 2008, s. 93-110.

często okazywało się w przeszłości, że ich końcowym efektem było – po prostu – wyrugowanie większości dotychczasowych mieszkańców z ich siedzib i z oswojonego przez nich otoczenia społeczno-przestrzennego¹⁸.

Po trzecie, „ideologia gentryfikacyjna” dość często skutkuje ujawnieniem się mechanizmu nazwanego przez Jacques’a Ranciere’a dzieleniem postrzegalnego¹⁹. Można przyjąć, że Rancierowskie dzielenie postrzegalnego jest – każdorazowo – swoistą społeczną definicją określającą to, co może, co ma prawo się w mieście zdarzać (i zarazem co jest w mieście nie-do-pomyślenia i nie-do-wyobrażenia). W poddanych gentryfikacji częściach miasta mogą przebywać – w poczuciu zadomowienia i w przeświadczeniu, że „są u siebie” – już tylko miejscy „normalni” – tzn. tylko ci mieszkańcy, którzy pasują do ich odmienionego (zgentryfikowanego) oblicza. W taki oto sposób, gentryfikacja okazuje się sprzyjać raczej reprodukowaniu się (i nawet zwiększaniu) społecznych podziałów i nierówności, niż być narzędziem ich przewycięzania. Uzasadniając się – na poziomie swoich deklaracji – jako narzędzie mające dopomóc oswoić dotychczasowych użytkowników zmienionej przestrzeni miejskiej z jej nowym kształtem kompromituje się jako podwójny agent, który ich w końcu zdradza.

LIFTING ESTETYCZNY

Niesatysfakcjonująca (zarówno dla mieszkańców, jak i dla władz miejskich), zdegradowana przestrzeń publiczna jest zazwyczaj nie tylko nieefektywna społecznie i nieopłacalna ekonomicznie, lecz także – w potocznym znaczeniu tego słowa – brzydka.

Siłą więc rzeczy, rodzi się pokusa, by poddać ją tak czy inaczej rozumianej estetyzacji, by ją jakoś uładnić. Oczywiście – pryncypialny program takiego uładniania to mniej lub bardziej głęboka i stanowcza gentryfikacja. Są jednak i inne możliwości. Jedną z nich jest zorientowanie się władz miejskich na swoistą grę pozorów, na rodzaj kamuflażu, który ma stworzyć wrażenie, że kosmetyka może zastąpić chirurgię, słowem, że możliwe jest zamaskowanie złego wyglądu i rozmaitych obiektywnych mankamentów miejskiej sfery publicznej, prowadzących w ostatecznym rozrachunku do jej społecznej, ekonomicznej, symbolicznej i politycznej dysfunkcyjności za pomocą rozmaitych manipulacji dokonywanych na wierzchniej warstwie miasta nazwanych przez Wolfganga Welscha powierzchowną estetyzacją²⁰.

¹⁸ Zob. np. M. Castells, *Kwestia miejska*, Warszawa 1982, s. 308-310.

¹⁹ Zob. J. Ranciere, *Dzielenie postrzegalnego...*

²⁰ Zob. W. Welsch, *Procesy estetyzacji. Zjawiska, rozróżnienia, perspektywy*, w: K. Zamiara, M. Golka (red.), *Sztuka i estetyzacja. Studia teoretyczne*, Poznań 1999, s. 12-13. Mam oczywiście świadomość, że przywołuję tu zaproponowaną przez Welscha kategorię trochę na wyrost i nie całkiem w zgodzie z jej pierwotnym znaczeniem. Chciałbym ją tu jednak traktować jako typowe „pojęcie uwrażliwiające”, które nie tyle identyfikuje i „wiąże” w takiej bądź innej typologii jakieś konkretne zjawisko, ile otwiera na określoną problematykę i jednocześnie - skłania do tego, aby starać się ją zobaczyć w nowym świetle.

Owa powierzchowna estetyzacja ani nie „wyposaża” mieszkańców miasta w jakieś nowe, istotne dla nich szanse i możliwości, ani nie jest miastotwórcza. Zmienia ona miasto optycznie, lecz nie wpływa w istotny sposób na wzrost jego potencjału i na zwiększenie jego sprawności w wywiązywaniu się z własnych zadań i obietnic.

Zatem powierzchowna estetyzacja miasta urzeczywistniana pod hasłem podnoszenia jakości miejskiej sfery publicznej (i traktowana jako ważny element, często wręcz jako filar tego programu) przyczynia się nie tylko do zamaskowania wspomnianego wyżej złego wyglądu miasta, lecz również do zamaskowania głębokich, strukturalnych przyczyn określonych dysfunkcji organizmu miejskiego. Raczej petryfikuje ona zastane „stosunki miejskie”, niż programuje i wymusza ich stopniową ewolucję w pożądanym kierunku. I raczej objawia się jako swego rodzaju środek znieczulający, który powstrzymuje społeczność miejską (i władze miasta) przed radykalizmem postulatów, za którym pójść mogłyby – prędzej lub później – jakieś bardziej konkretne i stanowcze działania nakierowane na jakościowe przeobrażenia miasta.

Fasadowa estetyzacja miasta buduje w mieszkańcach przeświadczenie, że można cieszyć się miastem już wówczas, gdy jest ono w stanie zmobilizować się do tworzenia namiastek lub mini-enklaw urbanistycznej nowoczesności, hiperporządku przestrzennego, czystości, ładu wizualnego itd. W rezultacie, władze miejskie wygrywają tu potrójnie. Raz – zyskując lub prolongując dla siebie jakiś tytuł legitymizacyjny (dobrego gospodarza, sprawnego organizatora, odważnego inwestora, bądź współinwestora). Dwa – zabezpieczając się przed ewentualnością pojawienia się roszczeń mieszkańców, aby próbować zmieniać miasto w bardziej zasadniczy sposób, aby w dyskusjach o mieście nie „prześlizgiwać się” po jego powierzchni. Trzy – utrwalając wygodny dla siebie mechanizm percepcji miasta, oparty na myśleniu na zasadzie *pars pro toto* – na ekstrapolowaniu epizodów estetycznej kontroli na całość organizmu miejskiego²¹.

STANDARYZOWANIE MIASTA

Zmaganie o lepszą miejską sferę publiczną, o jej lepsze parametry (bardziej jakoby odpowiadające oczekiwaniom i aspiracjom mieszkańców) oznacza dziś – w praktyce – coraz częściej sięganie po rozwiązania, które standaryzują, następnie zaś unifikują miejską przestrzeń. Hasło walki o lepiej urządzone i bardziej przyjazne miasto zostaje więc – tym razem – odczytane jako zachęta, wręcz zobowiązanie do redukcji zastanej złożoności miasta, do jego „ulogicznienia” i ujednolicenia.

²¹ Dobrze oddaje ten mechanizm sformułowanie „wizytówka miasta” (równie mocno zakorzenione w propagandowo-PR-owskim języku przedstawicieli władzy miejskiej jak w potocznym języku mieszkańców). Raz może być nią pieczołowicie odrestaurowana starówka, kiedy indziej – jakaś spektakularna, odważna w swoich założeniach estetyczno-funkcjonalnych realizacja architektoniczna (jak np. poznański Stary Browar), jeszcze kiedy indziej – zrewitalizowana, przemieniona na śródmiejski deptak ulica lub odzyskane dla nowych funkcji (zazwyczaj handlowo-usługowych) obiekty poprzemysłowe (np. łódzka Manufaktura).

Dobrym przykładem tej tendencji mogą być poczynania wielu samorządów mające na celu wprowadzenie w przestrzeń miejską systemu jednolitych „mebli miejskich” (koszy na śmieci, ławek, słupów ogłoszeniowych, stojaków na rowery itp.)²². Inne przykłady. Władze niektórych miast zaczęły dążyć do stopniowego ujednoczenia wyglądu miejskich targowisk, do narzucania nowo powstającym obiektom małej architektury ściśle określonych wymogów estetycznych, do eliminowania chaosu i różnorodności miejskiej ikonosfery poprzez przyziarniki do stworzenia czegoś w rodzaju miejskiej księgi standardów identyfikacji wizualnej.

Znów z jednej strony powiedzieć można, że wspomniane inicjatywy powinny być pozytywnie ocenione, że zmierzają we właściwym kierunku. Można je bowiem odbierać jako wysiłki mające na celu przestrzenne uporządkowanie miasta. Nie bez znaczenia będą tu również argumenty natury finansowej. Standaryzacja ograniczając dowolność sposobów i wzorów zagospodarowywania określonych fragmentów przestrzeni miejskiej ma szansę, przynajmniej potencjalnie, obniżyć koszty związane z utrzymywaniem porządku i koszty koniecznych inwestycji w szeroko rozumianą infrastrukturę miejską. Z drugiej jednakże strony, standaryzowanie przestrzeni miasta ma prawo być odbierane jako zakwestionowanie zaufania do pewnej ogólniejszej idei miasta, w myśl której miasto jest – niemal z definicji – terenem ujawniania się i dość swobodnego ścierania się ze sobą wielu różnych wolności. Nawet więc, jeśli uznamy tę ideę za nierealistyczną (żywiłowy rozwój miast jest dziś, z wielu powodów, nie do pomyślenia) i za niezgodną z dominującymi (więc, można sądzić, sprawdzającymi się) koncepcjami urbanistycznymi kładącymi nacisk na konieczność precyzyjnego i długofalowego planowania przestrzennego, i tak mieć będziemy w dalszym ciągu prawo spoglądać – przynajmniej na niektóre – przejawy standaryzowania miasta nieufnie. Po pierwsze, zbyt daleko posunięte i zbyt nachalne standaryzowanie miasta stwarza niebezpieczeństwo stopniowego pozbawiania go cech swoistych. Po drugie, wydaje się, że standaryzowanie miasta może być niekiedy traktowane jako przejaw braku odwagi planistycznej. Standaryzacja (pojęta jako celowe orientowanie się na sprawdzone, choć nie zawsze kontrowersyjne rozwiązania i jako dążenie do eliminowania miejskiej różnorodności) ma – z punktu widzenia planistów, urbanistów i urzędników zarządzających miastem – choć tę jedną zaletę, że redukuje niemal do zera prawdopodobieństwo ewidentnych wpadek: nieudanych eksperymentów architektonicznych, „nietrafionych” inicjatyw artystycznych, które zostały pomyślane jako próba ożywienia miejskiej przestrzeni, lecz nie zaakceptowali ich mieszkańcy²³, nieudanych

²² Więcej na temat „meblowania miasta” – zob. np. K. Terek, *Dusza miasta zakłeta w detalach*, „Przegląd Komunalny”, nr 3, 2010.

²³ Przykładem takiej nie całkiem chyba udanej inicjatywy artystycznej jest realizowany w Poznaniu od kilku lat projekt polegający na umieszczaniu na Starym Rynku i w jego bezpośredniej bliskości tzw. ławek artystycznych. Ławki te pojawiają się w mieście w okresie letnim i są – rzeczywiście – intrygującym, budzącym zainteresowanie, a pewnie i sympatię sposobem przełamywania miejskiej sztampy. Problem w tym, że ich estetyczna osobność, a często także niefunkcjonalność i niepraktyczność działa na ich potencjalnych użytkowników onieśmielająco. Są więc nie tyle zwyczajnie używane, co oglądane i komentowane. W efekcie, poznańskie ławki artystyczne zamiast zacierać granice między „sztuką” a „życiem” (co było pewnie jedną z intencji pomysłodaw-

projektów rewitalizacyjnych itp. Równocześnie jednak, w ostatecznym rozrachunku standaryzacja toruje drogę poprawnej przeciętności, stopniowo likwiduje klimat, w którym szanse na przebicie się mają także (siłą rzeczy – bardziej ryzykowne) projekty zorientowane nie tyle na to, by zadowolić miejską większość, ale na to, aby prowokować dyskusję o mieście, by w jego przestrzeń wprowadzać nowe znaczenia i nowe napięcia znaczeniowe.

MIASTO DLA QUANGO'S?

Skrót *quango* (*quasi-nongovernmental organisation*) pojawił się i wszedł do języka socjologii stosunkowo niedawno. Określa się tym mianem pozorne organizacje pozarządowe, które pod przykrywką realizacji określonych zadań i celów prospołecznych działają w sposób partykularny.

Można by powiedzieć, że *quango's* to po prostu wyłudzacze publicznych pieniędzy. Można powiedzieć też, że to – przynajmniej w polskich warunkach – beneficjanci „miękkiego finansowania”, lecz już nie w jego starej, PRL-owskiej postaci, o której pisał przed laty E. Mokrzycki²⁴, mając na myśli uprzywilejowanie w dostępie do budżetowych pieniędzy niektórych grup zawodowych (np. artystów, naukowców, górników), lecz w postaci „unijnej”, oznaczającej dostęp do pieniędzy, których wydawanie niekoniecznie podporządkowane być musi racjonalności społecznej i ekonomicznej, musi być jednak zgodne z zasadami „brukselskiej racjonalności administracyjno-biurokratycznej”.

Dlaczego łączę tu *quango's* z problematyką miejskiej sfery publicznej? Najkrócej mówiąc, dlatego, że odkąd zadanie poprawiania jakości sfery publicznej w mieście (i sfery publicznej w ogóle) zostało wciągnięte na listę celów finansowanych bądź współfinansowanych ze środków unijnych²⁵, odtąd – siłą rzeczy – środki przeznaczone na ten cel znalazły się w polu zainteresowania *quango's*.

Oczywiście – pytanie, ile *quango's* korzysta dziś z możliwości realizacji swoich partykularnych interesów dzięki pieniądзом przeznaczanym przez brukselską administrację na wspieranie (coraz bardziej) otwartej i obywatelskiej sfery publicznej jest ważne. Ale jest to pytanie, na które odpowiedzieć mogą raczej stosowne organa kontroli,

ców i twórców całego przedsięwzięcia) raczej o niej – na nowy sposób i w nowym kontekście – przypominają, usztywniając ją i czyniąc jeszcze bardziej nieprzekraczalną.

²⁴ Zob. E. Mokrzycki, *Dziedzictwo realnego socjalizmu, interesy grupowe i poszukiwanie nowej utopii*, „Kultura i Społeczeństwo”, nr 1, 1991.

²⁵ Środki na podnoszenie jakości sfery publicznej przekazywane są władzom samorządowym przez Europejski Fundusz Rozwoju Regionalnego. W praktyce, *gros* tych środków przeznaczana jest na prace rewitalizacyjne zaplanowane w tzw. Lokalnych Programach Rewitalizacji (pula pieniędzy przyznanych Polsce na ten cel w latach 2004 - 2006 to w skali kraju sięgnęła prawie 100 mln euro). Można przyjąć jednak, że w pojęciu „podnoszenie jakości sfery publicznej” mieszczą się również rozmaite działania mające na celu wspieranie dialogu obywatelskiego i trzeciego sektora. W przypadku Polski większość takich działań finansowanych jest obecnie z Programu Operacyjnego Kapitał Ludzki.

zajmujące się oceną sposobów wydatkowania pieniędzy unijnych, niż socjologowie. Z punktu widzenia tych ostatnich, istotniejsze wydaje się pytanie o to, czy (a jeśli tak, to w jakim stopniu) *quango's* zakłamyją rzeczywisty obraz „stosunków miejskich” i potrzeb miasta/mieszkańców – np. opracowując swoje projekty tak, aby odpowiadały one raczej pewnym biurokratycznym wyobrażeniom o potrzebach społecznych, niż rzeczywistemu zapotrzebowaniu na określone działania lub podporządkowując ich symboliczno-propagandową wymowę w większym stopniu bieżącym interesom politycznym władz samorządowych, niż mieszkańców²⁶.

SZTUKA PUBLICZNA, CZYLI ARTYŚCI NA POMOC MIASTU I WŁADZOM MIASTA

Sytuacja sztuki publicznej jest dzisiaj dość szczególna. Z jednej strony, ma ona bowiem (w dalszym ciągu) wielu życzliwych kibiców - bo jest postrzegana jako przejaw konsekwentnego i nonkonformistycznego opowiadania się po stronie potrzeb, interesów i wartości Społeczeństwa (nie zaś Systemu), bo obiecuje zmienić estetyczne oblicze przestrzeni publicznej (czyniąc ją mniej opresyjną, a bardziej zharmonizowaną z instynktownymi i zarazem społecznie podzielanymi wyobrażeniami na temat użyteczności i przyjazności), bo obiecuje być nienachlaną, wolną od przemocy postacią edukacji społecznej itd. Z drugiej strony jednak, sztuka publiczna staje się dla wielu coraz bardziej irytująca i rozczarowująca.

Po pierwsze bowiem, dzisiejsza sztuka publiczna razi swoim dydaktyzmem. Wbrew własnym deklaracjom, często okazuje się być ona sztuką wychowawczą. Tym samym, paradoksalnie, reprodukuje ona *par excellence* modernistyczny model relacji artysty – społeczeństwo, w którym ci pierwsi patrzą na społecznych „normalsów” trochę z góry, mieniąc się ich przewodnikami, pocieszycielami lub mentorami. Po drugie, wydaje się, że sztuka publiczna, stosunkowo za często aspiruje do roli zastępczego reprezentanta określonych grup i segmentów społeczeństwa, którym odmawia się prawa głosu, lub których nie słucha się wystarczająco uważnie. W rezultacie, chcąc nie chcąc przyczynia się ona jednak do ich wtórnej, piętrowej stygmatyzacji, przemawiając w ich imieniu, w jakiś sposób je naznacza i upokarza. Po trzecie, znów wbrew własnym założeniom, dzisiejsza sztuka publiczna coraz częściej funkcjonuje w faktycznym oderwaniu od przestrzeni miejskiej²⁷. W rezulta-

²⁶ Nie dysponujemy póki co reprezentatywnymi badaniami, które pozwoliłyby zorientować się w skali zjawiska, o którym tu piszę. Wygląda jednak na to, że sytuacja ta się wkrótce zmieni. W połowie 2009 r. Ministerstwo Pracy i Polityki Społecznej ogłosiło przetarg na duże badanie mające ocenić efektywność mechanizmów konsultacji społecznych prowadzonych przy współpracy z organizacjami pozarządowymi (szczegółowy wspomnianego projektu – zob. www.mpips.gov.pl).

²⁷ Skrajny przykład to po prostu wypieranie sztuki publicznej z ulic i „zamykanie” jej w galeriach. Inny przykład – wiele miast tworzy dzisiaj coś w rodzaju enklaw dla sztuki publicznej (równie dobrze mogą to być jakieś zdegradowane i czekające na rewitalizację tereny poprzemysłowe, jak i centra handlowe uczczające swojej przestrzeni „artystom publicznym”).

cie mamy do czynienia z jej coraz większą efemeryzacją. Jej obecność w przestrzeni miejskiej zredukowana jest „do niezbędnego minimum” – może (i nawet musi) być ona szeroko widzialna, ale możliwie krótko – na tyle krótko, by nie wpisała się w miasto i nie zrosła się z nim; może (i nawet musi) być ona szeroko widzialna, lecz zasadniczo po to, by ją zdokumentować, a następnie przenieść w jakieś bezpieczniejsze miejsce (tzn. najczęściej do Internetu). Koniec końców, sztuka publiczna staje więc się coraz częściej rodzajem działania dokamerowego, które może liczyć na dłuższy żywot tylko w mediach (jako dokumentacja). Po czwarte, coraz wyraźniej widać, że sztuka publiczna sprzęga się z rozmaitymi politykami miejskimi, za którymi stoją stratedzy miasta. Jest więc ona na rozmaite sposoby instrumentalizowana (traktowana jako wehikuł promocji, jako narzędzie tzw. marketingu miejsca itd.).

Mnożące się wątpliwości, jaki wzbudza dziś sztuka publiczna prowadzą do narastającego zobojętnienia na jej kolejne propozycje i przejawy. W okolicznościach tych palącym zadaniem (zarówno dla artystów identyfikujących się ze sztuką publiczną, jak i dla władz miejskich chcących nadal widzieć w sztuce publicznej swojego długo-falowego, nie zaś jedynie taktycznego sojusznika i chcących traktować sztukę publiczną jako ważny element miejskiego krajobrazu) staje się ponowne przemyślenie jej funkcji i jej zadań.

Wydaje mi się, że warunkiem ponownego uwiarygodnienia się sztuki publicznej w oczach szerokiej społeczności miejskiej jest radykalna zmiana sposobu, w jaki definiuje ona swoją polityczność. Nowa i bardziej wiarygodna społecznie sztuka publiczna to już nie tylko sztuka, która prowokuje debatę na temat takich czy innych kontrowersyjnych, więc wartych uwagi kwestii, lecz także sztuka, która decyduje się na dobrowolną rezygnację z jakkolwiek pojętej systemowej, instytucjonalnej ochrony. Stawia to ją w sytuacji podwójnego zagrożenia (zarówno ze strony społeczeństwa, o którego uwagę i aprobatę stara się ona zabiegać, jak i ze strony władzy). Nowa polityczna natura sztuki publicznej byłaby więc – inaczej jeszcze mówiąc – równoznaczna z jej zgodą na całkowitą własną bezbronność, z jej odwagą godzenia się na obcowanie ze społeczeństwem (które niekoniecznie musi sobie jej życzyć) i z władzą (która również może jej – skrycie lub jawnie – nie chcieć) bez żadnej prawnoinstytucjonalnej lub symboliczno-etosowej „obstawy”.

Jeszcze bardziej radykalnie brzmią postulaty kierowane pod adresem sztuki publicznej przez Marka Krajewskiego. W artykule zatytułowanym *Przeciw inżynierii wizualnej. Ożywianie i uśmiercanie miasta*²⁸ pisze on, że sztuka publiczna, która pragnie funkcjonować w świadomości mieszkańców miasta jako środek emancypacji i jako rodzaj parasola ochronnego rozpiętego nad wykluczonymi, zamiast opierać się na logice działania podobnej do tej, którą posługuje się władza (zamiast proponować kontr-programy, antagonizować i agonizować, dokonywać swoistego u-spektakularnie-

²⁸ Zob. M. Krajewski, *Przeciw inżynierii wizualnej. Ożywianie i uśmiercanie miasta*, w: E. Rewers (red.), *Sztuka – kapitał kulturowy miast polskich*, Poznań 2010.

nia wybranych problemów itd.) powinna raczej „wpierać roszczenia mieszkańców do życia po swojemu”. W innym miejscu tego samego artykułu Krajewski idzie jeszcze dalej, oczekując od sztuki publicznej, aby zaczęła być ona „artystyczną kreacją, nie próbującą niczego pokazywać, reprezentować, ale raczej usiłującą badać relacje konstytuujące społeczeństwo i chronić te, które je spajają”. Tak rozumiana funkcja działania artystycznego ulokowanego w przestrzeni miejskiej – pisze dalej Krajewski – „definiuje je raczej jako doradzanie, wytwarzanie relacji, jako przedmiot, który je stabilizuje i koryguje, niż jako reprezentację, obraz, znak przekształcający świadomość”.

TURNIEJ MIAST

Zdążyliśmy się już przyzwyczać do tego, że miasta toczą ze sobą skrytą lub jawną rywalizację (o krajowych i zagranicznych inwestorów, o możliwość organizacji prestiżowych imprez sportowych lub artystycznych, o miejsce w rozmaitych prasowych rankingach itd.). W rywalizacji tej ważnym argumentem jest zazwyczaj jakość miejskiej przestrzeni publicznej. Problem w tym, że jej poprawa (na tyle spektakularna, by można się było nią pochwalić) wymaga bądź to konsekwencji w urzeczywistnianiu długofalowej koncepcji porządkowania miasta i zaprowadzania w nim ładu przestrzennego (zaś wcześniej jej stworzenia i doprowadzenia do jej zatwierdzenia), bądź też niewyobrażalnie dużych środków finansowych „dostępnych od zaraz” – porównywalnych z tymi, jakie po zjednoczeniu obu państw niemieckich przeznaczone zostały na „odbudowę” byleż NRD.

W warunkach polskich obydwa wspomniane powyżej scenariusze są – praktycznie – nierealizowalne. Drugi z powodów oczywistych. Pierwszy – choćby dlatego, że większość projektów i programów mających na celu poprawę ładu przestrzennego obejmuje dość krótki horyzont czasowy i ma charakter wycinkowy. Również dlatego, że na przeszkodzie bardziej skutecznej polityce nakierowanej na poprawianie zastanego ładu przestrzennego stoją dziś liczne regulacje prawne tworzące koniec końców swoisty „gorset ustawowy”.

Paradoksalną (choć na swój sposób zrozumiałą, bo w sumie racjonalną – przynajmniej w sensie „rachunku politycznego”) konsekwencją tego stanu rzeczy jest strategia stopniowego samoograniczenia się władz miejskich w ich aspiracjach związanych z kreowaniem polityki przestrzennej i z podnoszeniem jakości miejskiej przestrzeni publicznej. Kalkulacja przedstawia się prosto: skoro z jednej strony (wysoka) jakość miejskiej przestrzeni publicznej jest ważnym kryterium oceny atrakcyjności miasta przez rozmaitych audytorów, ale z drugiej strony – praktycznie nie sposób „zawalczyć” tutaj o szybki i niebudzący wątpliwości sukces, przeto samonarzucającym się rozwiązaniem jest 1) zaprzestanie walki o lepszą przestrzeń publiczną oraz 2) dążenie do nadrobienia punktów straconych przy ocenie jej jakości gdzie indziej (np. konstruując i uruchamiając rozmaite, wystarczająco spektakularne, ale zarazem aspektowe, więc łatwiejsze w realizacji programy w rodzaju „miasto stawia na sport”, „miasto stawia na kulturę”, „miasto przyjazne dla osób niepełno-

sprawnych” itd.). Gwoli ścisłości – nie chcę w tym miejscu dyskredytować wspomnianych (i wielu podobnych im) „programów cząstkowych”. Większość z nich (a pewnie wszystkie) da się bez trudu obronić, wskazując na płynące z nich korzyści. Chcę tylko powiedzieć, że są one częstokroć wymyślane i następnie lepiej lub gorzej realizowane w zastępstwie poważnych, ambitnych działań mających poprawiać przestrzeń publiczną w mieście lub przynajmniej przeciwdziałać jej dalszej degradacji.

Poniekąd można by się cieszyć. Wszyscy godzą się (już) z tym, że jakość miejskiej przestrzeni publicznej przekłada się w bezpośredni sposób na określone szanse miasta. Problem w tym, że mało kto wierzy, iż jakość tę da się podnieść. W rezultacie, mamy do czynienia z realną groźbą cichego marginalizowania kwestii miejskiej pojętej jako kwestia przestrzeni miejskiej. Im więcej się o niej mówi, tym bardziej prawdopodobne, że zostanie ona utopiona w ogólnikowych deklaracjach i niezobowiązujących postulatach.

ROZMOWA O MIEJSKIEJ SFERZE PUBLICZNEJ

Kolejne, coraz bardziej wyrafinowane teoretycznie warstwy socjologicznej „debaty na temat sfery publicznej” wydają się działać na opinię publiczną raczej onieśmielająco, niż inspirująco. Dominujący w dzisiejszej socjologii sposób mówienia o sferze publicznej skłania „zwykłych ludzi” do tego, aby traktować kwestię sfery publicznej jako typowy problem ekspercki.

W rezultacie, zaczynamy mieć do czynienia ze stopniowym wypychaniem i w końcu z wykluczeniem z dyskusji o miejskiej sferze publicznej tych, którzy powinni być w tej dyskusji najuważniej słuchani – mianowicie samych mieszkańców. Z jednej strony, teoretyczne „napompowywanie” tej dyskusji (np. osadzanie jej w kontekście rozmaitych tradycyjnych aporii nauk społecznych) jest oczywiście dobrym prawem wszystkich, którzy to robią. Jednak z drugiej strony, trudno oprzeć się wrażeniu, że sytuacja ta prowadzi także do swego rodzaju uziemienia „strony społecznej”, do wpędzenia jej w milczenie.

Paradoksalnie – okazuje się więc, że intensyfikacja debaty o sferze publicznej połączona z nadawaniem jej rozmaitych symbolicznych znamion „debaty ekspertów”²⁹ skutkuje tym, że nie słychać w niej jej nominalnych beneficjentów. Niewykluczone jednak, że jest jeszcze gorzej. Być może, ów ekspercki charakter nadawany dziś (usilnie i na różne sposoby) debacie na temat sfery publicznej sprawia, iż jest (już) ona postrzegana przez zwyczajnych mieszkańców – użytkowników miasta jako zmowa „władzy miejskiej” i „specjalistów”, która w ostatecznym rozrachunku delegitymizuje i jednych i drugich.

Jeśli rzeczywiście by tak było, winniśmy uznać, że mamy obecnie do czynienia nie tylko z głębokim kryzysem samej sfery publicznej, ale również z kryzysem sposobów jej tematy-

²⁹ Przykładem takiej „debaty ekspertów” była – skądinąd interesująca – debata „Poznań na zakręcie” zainicjowana w 2006 r. przez poznański oddział „Gazety Wyborczej” (artykuł redakcyjny otwierający wspomnianą debatę – zob. <http://miasta.gazeta.pl/poznan/1,36022,3215773.html>, data odwiedzin na stronie: 21.08.2009).

zowania. Bardziej „eksperycki” i „specjalistyczny” sposób mówienia o sferze publicznej nie tylko przysłania wszelkie „potoczne” i „zdroworozsądkowe” wątki rozmowy na jej temat, lecz także deprecjonuje ich wartość i podważa ich przydatność. W ten oto sposób, Certeau-sowskie pytanie czyje jest miasto? okazuje się być pytaniem retorycznym.

PODSUMOWANIE

Starałem się w tym artykule udowodnić, że hasło walki o lepszą przestrzeń publiczną w mieście nieść może ze sobą zgoła nieprzewidziane (również negatywne) konsekwencje oraz że jest ono narażone na rozliczne instrumentalizacje.

Niewątpliwie – nieufność wobec postulatu nawołującego do zmagania o lepszą przestrzeń publiczną w mieście może być uznana przez wielu za sporą przesadę. Z drugiej strony, nieufność, wręcz podejrzliwość w ocenie zdarzeń i zjawisk, które sprawiają wrażenie niekontrowersyjnych zawsze była ważnym zadaniem socjologii. Można by powiedzieć, że próba krytycznego spojrzenia na pewną retorykę, która wydaje się być na pierwszy rzut oka wolna od dwuznaczności nawiązuje do zachęty Roberta Mertona, aby opisując funkcje jawne tropić również funkcje ukryte. Nie miałbym nic przeciwko temu, jeśliby tekst niniejszy został tak właśnie odebrany: jako tropienie funkcji ukrytych. Równie ważne wydaje mi się jednak i co innego. Otóż przykład hasła walki o lepszą, bardziej przyjazną, lepiej uporządkowaną przestrzeń publiczną (i wszystkich jego – dobrych oraz złych, przewidzianych oraz nieprzewidzianych następstw) znakomicie ilustruje groźbę pewnej „systemowej pułapki”. Chodzi o to, że do legitymizacji władzy (w tym przypadku władzy miejskiej i władzy w mieście, lecz dotyczy to tak naprawdę każdej władzy) zaczyna powoli wystarczać sama umiejętność organizowania przez rządzących publicznej debaty o określonych ważnych i palących problemach. Tym samym, wystarczającym tytułem do legitymizacji okazuje się być umiejętność i odwaga stawiania pytań (ewentualnie – umiejętność „zakreślenia wizji” i opracowywania programów), nie zaś umiejętność znajdowania i urzeczywistniania rozwiązań.

REKLAMA